

Miłość totalna

(Dokończenie ze strony 19)

mach narracji dane jej w przeżyciach form miłości.

W wierszu zatytułowanym *Pieprz i wanilia* czytamy: „Pieprz dodaje smaku, / wanilia aromatu. / Jesteś moim pieprzem, / ja twoją wanilią. / Razem tworzymy / wykwintne danie, / osobno zakalec.

Z kolei w utworze pt. „Krasawica cnotliwa” autorka pisze: *Ach, moja żałość, mój smętku, kiej powrócisz, / byłam za młodu dziewczką, tera mną gardzisz. // Gdym żywot rozpustnie wiodła, tyś był gotowy, / tera ogarniasz się Miedźno cnot głowy. // Jałmużny nędznem nie weźmiem, / już nie zawrócisz, / na wieki nie wróci, gdy się o nią nie trudzisz.*

I w utworze „Wiosna” Katarzyna odnotowuje taką impresję: *Na blejramie ziemi / kolorowe malujesz krajobrazy, / orkiestra radosnych ptaków / poranne etiudy komponujesz, czarodziejską różdżką / smutek w radość zamieniasz. / Jesteś chwilą w zieleń ubraną, / matką ziemskiego istnienia.*

Warto z uwagą sięgnąć po ten obszerny tom poezji autorki z Dobczyc, by poznać nieskończone sposoby widzenia, przeżywania i konsumowania miłości, ale i rozwijania własnych ku niej naturalnych skłonności.

prof. Ignacy S. Fiut

Katarzyna Dominik, „Exodus – wewnętrzna emigracja”. Obraz na okładce: Teresa Wolska-Gęsiarz. Fotografia: Marcin Kania. Wydawnictwo PROMO, Dobczyce 2019, s. 450.

Spotkamy się wieczorem...

Nad całym szpitalem zapadał wczesny o tej porze roku zmrok. Drzewa parkowe, wśród których rozsiane były pojedyncze budynki oddziałów, spowijała delikatna szklana mgiełka, przypominająca świeżo zrobioną watę cukrową. W parku nie było prawie nikogo, jeśli nie liczyć pracownika grabiącego opadłe niedawno z drzew liście i salowego, przechodzącego z jednego oddziału na drugi wydeptaną w poźółkłej teraz trawie ścieżką. W jednym z oddziałów dla Krowodrzy pacjenci otrzymali wczesną kolację, a teraz zajmowali, czym kto się interesował. Jedni grali w tenisa stołowego w głównej sali, gdzie jedzono też posiłki. Inni oglądali telewizor, zawieszony wysoko dla bezpieczeństwa, leciał właśnie „Teleekspres”. Jeszcze inni o czymś żywo dyskutowali w palarni. Palarnia powstała jako rezultat kompromisu – zamiast palenia po kryjomu w toaletach, ordynator

zlecił wymurowanie małej palarni obok wejścia do sali obserwacyjnej; w ten sposób ograniczono nocne wędrówki do toalety, a także ucywilizowano nałóg, niejako go legalizując. Nie od dziś wiadomo, że nikotyna osłabia działania niepożądane leków na schizofrenię; a przecież połowa z hospitalizowanych w zakładach psychiatrycznych to biedni chorzy na schizofrenię.

Pod Izbę Przyjęć około 16.19 podjechał ambulans. Wysiadło z niego dwóch ludzi w bieli, a chwilę potem podtrzymywany przez jednego z nich pod łokieć mężczyzna w średnim wieku.

Tymczasem niewidzialna, lecz dobrze wyczuwalna aura panowała na oddziale dla Krowodrzy; specjaliści od psychiatrii wyczuwali, co może zdarzyć się którego dnia. Podobnie pacjenci – od samego rana przeżywali, że coś się wreszcie wydarzy. Coś, co przełamie impas, zniszczy monotonię, zaburzy rutynę, ukaże nowe perspektywy, przewidzi nowy horyzont zdarzeń. Pacjenci psychiatryczni to żywe barometry nastroju, wrażliwi nawet na zmianę pogody, a co dopiero na delikatne relacje międzyludzkie. Można wejść na dowolny w mieście oddział, a nigdzie tak, jak na psychiatrii nie odczuje się falującego nastroju, jego zmiennych faz, oscylującego wokół pacjentów. Spośród nich ci co lepsi, w lepszym kontakcie emocjonalnym z otoczeniem, mniej poranieni, a może już mocno podleczeni, wiedli prym, byli niejako przywódcami stada, które kręciło się na oddziale wokół jedzenia, palenia i zażywania leków o przepisanej godzinie. Tak więc od samego rana na oddziale 6A słynnego szpitala psychiatrycznego w znanej podmiejskiej miejscowości coś, jak to się mówi czasem, wisiało w powietrzu...

Kiedy trójka mężczyzn przekraczała próg Izby Przyjęć, umieszczony w typowym modernistycznym pawilonie w samym niemal środku wielkiego parku, była 16.20, a kilka osób zmierzało właśnie w stronę niewielkiej świątyni, aby wziąć udział w mszy świętej. Jeden z „białych” podszedł do okienka recepcji i wręczył recepcjonistce plik jakichś dokumentów, drugi najwyraźniej pilnował przywiezionego mężczyznę. Był nieco wystraszony, początkowo bał się, wycofywał i unikał czyjekolwiek wzroku, choćby było to spojrzenie maksymalnie życzliwe.

– Dlaczego pana tu przywieziono do nas? – spytała miłym tonem lekarka, która tego dnia miała „dyżur”. Mężczyzna najpierw spojrział w górę, potem w bok i nic nie odpowiedział. Lekarka nie speszona czekała, aż ten dokończy wyboru, a gdy minęło jeszcze kilka sekund, padły słowa: – Królestwo zostawiłem w porządku... mecz przegrany... ktokolwiek widział... wie... nie wiem. – A jak pan myśli? – niewzruszonym głosem spytała kobieta. – Jasno-grońd nawałnicę przyniosł... bo jestem królem...

- Pan myśli, że jest królem?
- Bo tak mi on powiedział...
- A zdradzi pan kto?
- On... ten z obrazu... jak mu tam... Nazarejczyk... heh...
- Jezus Chrystus?
- Jezus z Nazaretu.

- To ta sama osoba.
- O, nie mi powiedział ten prawdziwy...
- I powiedział panu, że jest pan królem?
- Niby tak... ale ja sam o tym wiedziałem.
- Czy pamięta pan, jaką mamy datę?
- 19 listopada.
- A rok?
- Ten sam.
- Ten sam?
- Tak samo... zawsze ten rok...

– Przywieziono pana w kaftanie... wcześniej próbował pan okraść sklep spożywczy... a co pan mówił policjantom, mamy zapisane i nagrane.

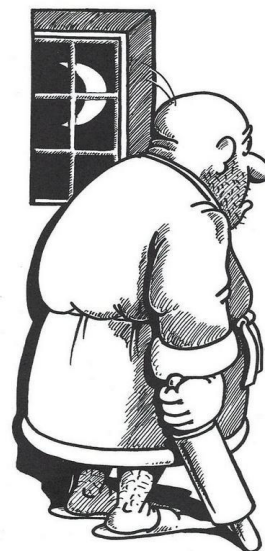
Wtedy stało się coś niebywałego. Mężczyzna, który miał na sobie ciepły polar, uczynił gest rozdarcia na dwoje, aż trzasnął zamek błyskawiczny. Potem wstał, wyskoczył w górę i drąc się, zapewniał, że „jest królem” i że „zaraz to udowodni”. Sanitariusz w bieli drgnął gotowy do obrony lekarki, która jednak nie wyglądała na wystraszoną. Ostatecznie mężczyźnie już w komisariacie, dokąd go najpierw przewieziono, odebrano wszystkie ostre przedmioty.

Oczy mężczyzny z niebieskich stały się sine, a z ust prawie popłynęła piana. Lekarka spokojnie obserwowała atak. Przyzwyczaiła się już do różnych sytuacji. Co pacjent, to inny świat, zupełnie inna historia. Ten pacjent chciał udowodnić, że „jest królem”. I że ma namaszczenie samego Jezusa. W szpitalu co drugi pacjent twierdzi, że widzi Boga albo słyzy głosy aniołów. Niektórzy święcie wierzyli, że są posłani na świat, aby coś zrobić. Pytani jednak, co konkretnie, wpadali w szal.

Po chwili tej refleksji, która niczym błyskawica przebiegła przez ścisły umysł lekarki, mężczyzna uspokoił się, spotulniał, usiadł. Jeszcze chwilę coś gestykułował rękami, a jego oczy biegały w różnych kierunkach.

– Musimy pana zatrzymać na oddziale. Na obserwację – lekarka mówiła do pacjentów krótko i zwięźle, jak kazały prawidła sztuki, jaką było bycie psychiatrą.

Rafał Sulikowski



Rys. Sławomir Łuczyński